



Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza

RSW
„Prasa-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

PERSPEKTYWY

00-950 Warszawa
ul. Nowy Świat Nr 58

51

20-12-85

Nr z dn.

665

Z mojej łóży

Czy „ryczeć” na Geneta?

Moją pierwszą fascynacją teatralną był – mógł być inaczej? – Wyspiański; ale tak, na marginesie, były nią również „Narodziny wiosny” Wedekinda, sztuka, która mówiła o moim pokoleniu na rozdrożu. Potem przyszły inne fascynacje. Różne. Od Schillera do Swinarskiego, tak samo jak od Jaracza do Zbigniewa Zapasiewicza. Zmieniały się czasy i świat się zmieniał. Od oczekiwań na triumf „Brygad szlifierza Karhana” do egzystencji ludzi „Czekających na Godota”. Gdy po 1953 nastąpiło Wielkie Otwarcie, i doszli do nas Sartre, Beckett czy Ionesco – recenzent w centralnej gazecie partyjnej (kim byłem) – uznałem za swe pierwsze zadanie objaśnić, oswoić, uzasadnić, obronić Nowe – starając się zarazem oddzielić ziarna od plew. „Nie bójmy się czarnego luda”. Lata były dopiero pięćdziesiąte, co znaczy, że niedługo po długim okresie odcięcia. I Mroźek tak samo wymagał wyjaśnień jak Beckett.

Minęły znowu lata. Przyszli ci, co do gotowego. Spojrzeli na poprzedników i wydęli usta. Im mniej rozumieli, tym mniej okazali dobrej woli. Dam, z mego podwórka, jeden przykład. Obecny prezes Klubu Krytyki Teatralnej, mój dawny kumpel z teatralnych podróży, Andrzej Żurowski napisał przy okazji, że Teatr Rapsodyczny „zatłukł”, a na Becketta – że „ryczał”. O Teatrze Rapsodycznym pomówię osobno, bo już zbyt wiele doń przyrosło legend. Co zaś do Becketta, gdy Żurowskiego poprosił o bodaj jeden cytat z moich rzekomych „ryków”, wywniósł się podaniem dat dwu moich omówień teatru Becketta, jak najdalszych od „ryków”. Tak się pisze historię. (Rzecz działa się ostatnią jesienią na łamach „Kultury”).

Wśród moich fascynacji z tamtych lat pięćdziesiątych znalazł się również „Balkon” Geneta, którą to sztukę zobaczyłem na scenie po raz pierwszy kiedy? wczoraj! – na scenie Ateneum w reżyserii Andrzeja Pawłowskiego i w świetnej scenicznej oprawie Marcina Stajewskiego. Do Ateneum dawniejszymi laty bywałem zapraszany na każdą premierę; ale ostatnio skreślili mnie z ewidencji. Patrzałem wzruszony na dawnych, tak często przeze mnie oglądanych, wybornych aktorów Ateneum, Wrzesińską czy Kamasa, braci Kociniaków, Piotra Pawłowskiego... Wspólnie z koleżankami (doskonałe!) i kolegami stworzyli zwarte myślowo i celne aktorsko przedstawienie, w którym reżyser starał się być wierny autorowi i tylko w paru miejscach go odstąpił – zresztą na swą niekorzyść (prolog, farsowe momenty w scenach z Fotografem). W sumie: widowisko bardzo, bardzo dobre. Tyle że fascynacji nie było. Z winy różnic między wizją autora i czytelnika a ściągnięciem jej na konkret „desek teatralnych”? O, nie tylko.

Kim jest Jean Genet? Wiadomo: świetny pisarz w skórze nędznego osobnika z podmarginesu społecznego, któremu nieobce były występki i podłości. Pisze Andrzej Falkiewicz, znany polski teatrolog: „Uważam Geneta za geniusza teatru. Od czasów Szekspira nie znam w dramaturgii światowej człowieka, z którym ośmieliłbym się go porównać”. I ja uległem fascynacji, gdy przed trzydziestu laty po raz pierwszy przeczytałem „Balkon”, wydrukowany wówczas w „Dialogu”. Sztuka była „piekielna”. Nie do zagrania. Zresztą Genet niebawem napisał jej drugą wersję, która, jak to często bywa, osłabiła wersję pierwotną. I w tej drugiej wersji „Balkon” jest grywany, także teraz w Ateneum.

Wyszedłem przejęty spotkaniem ze sztuką, która jest naprawdę znakomita. Co jednak nie znaczy, bym nie dostrzegł jej obcości ideowej i wewnętrznej pęknięcia. Ten „Balkon” jest podpiłowany, i nie tylko przez anonimowych i po trosze operowych „rewolucjonistów”. Podpiłowało go odejście Geneta od rzeczywistości, realnej, chociaż nierzeczywistej. Sztuka jest jakby przełamana. Póki się dzieje wewnątrz domu realizacji złudzeń, trzyma się żywej ziemi i jest wielką parabolą i wiwisekcją. Gdy wychodzi na zewnątrz, płacze się i gubi wśród spraw, których Genet nie chciał czy nie umiał ogarnąć. „Rewolucyjne” tło budzi tylko uśmiech i zniecierpliwienie. Pisarz poszybował w kosmos (dawniej mówiono: w eter) i stracił kontakt z ziemią. I dlatego nie jest drugim Szekspirem.

Napisałem, i teraz nie wiem: a może to jest z kolei mój „ryk” na „wielkiego Geneta”? (i to w imię socrealizmu albo jakich innych okropieństw?). Coraz mocniej zacierają się u nas różnice między pochwałą a kultem, także różnice między krytyką a napaścią i „zatłukiwaniem”. A ja nie lubiłem ani pisanie na klęczkach (niewygodna pozycja), ani pisanie piórem, zaprawionym żółcią. I są pewne kryteria... O, przepraszam: pryncypia ideowe – a co to takiego?

JASZCZ